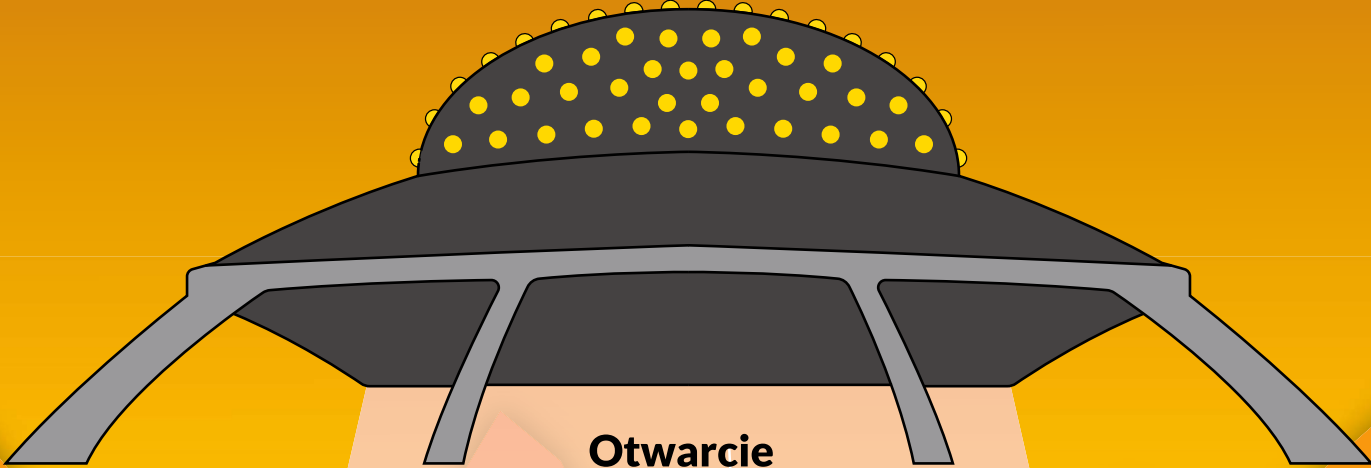




Otwarcie Centrum Komunikacyjnego -Dworca Autobusowego w Kielcach

27 sierpnia 2020 r.

17:00-19:00 - zwiedzanie dworca
oraz strefa atrakcji

Biuro Wystaw Artystycznych, Dom Kultury „Zameczek”,
Energetyczne Centrum Nauki, Geopark Kielce,
Instytut Dizajnu, Kielecki Teatr Tańca, Kieleckie Centrum Kultury,
Miejska Biblioteka Publiczna, Młodzieżowy Dom Kultury,
Muzeum Historii Kielc, Muzeum Zabawek i Zabawy,
Politechnika Świętokrzyska i ERC Space & Robotics Event,
Teatr im. Stefana Żeromskiego

19:00-21:00 - koncert Mafia Music & KASA

21:00-22:00 - pokaz światło i dźwięk na architekturze budynku
dworca połączony ze słuchowiskiem muzycznym
w klimacie Sci-Fi autorstwa Dariusza Makaruka
z zarejestrowanym udziałem

Piotra Fronczewskiego w roli Sztucznej Inteligencji (AI)
(emisja pokazu kilkakrotnie powtarzana w godzinach 21:00-22:00,
a także transmisja on-line na Facebooku Miasta Kielce)

Scenariusz, muzyka, reżyseria: Dariusz Makaruk

Głos: Piotr Fronczewski

Produkcja: MediaCraft

Organizacja produkcji: Anna Pupin

Współpraca: Anna Hołdyńska, Klaudia Gajkowska

Polityka mała i duża



Łukasz Lipiński

Na Białorusi dzieje się wielka historia, którą opisuje Sławomir Sierakowski w korespondencji z Mińska (s. 12). Białorusini po raz pierwszy od wielu lat na poważnie się zbuntowali i próbują wziąć sprawy w swoje ręce.

Trzymamy za nich kciuki, chłonąc niosące nadzieję obrazy zza wschodniej granicy. Bo w naszej polityce, niestety, dużo więcej małości niż wielkości. Kończy się krótka i gorąca kanikuła i wszystko wraca w wyżłobione koleiny. Po wyborach prezydenckich w obozie zwycięzców zapanowało lekkie rozprężenie, z którego najusilniej próbował skorzystać Zbigniew Ziobro. Rozpychał się na prawo (przede wszystkim) i na lewo, wszczynając kulturowe wojny, które mają go wzmocnić w najbardziej konserwatywnym elektoracie.

Koszty rozpoczętej w kampanii i z zapalem kontynuowanej nagonki na LGBT poniesiemy wszyscy, zwłaszcza atakowani przedstawiciele mniejszości, którzy coraz częściej odczuwają je dosłownie (!) na własnej skórze. Symbolem tych czasów jest spisanie przez policję osób, które powiesiły tęczową flagę na rzeźbie smoka wawelskiego i niedzielne zmywanie tęczy z jezdnii Krakowskiego Przedmieścia. Władza, która walczy ze smokami i kredowymi rysunkami, sama się ośmiesza.

Pierwszym przejawem zwierania szeregow przez PiS jest projekt podwyżki pensji najważniejszych polityków i urzędników. Trzeba przyznać, że istnieje potrzeba systemowego uregulowania tej sprawy, bo była zaniedbywana przez wiele lat. Płace polityków były zamrożone za czasów Donalda Tuska, a potem Jarosław Kaczyński jeszcze je obciął, gdy bronił się przed efektami afery z podwójnymi pensjami w rządzie Beaty, „Nam się te pieniądze należały” Szydło. W efekcie siatka uposażeń polityków rola się od absurdów, z których największym były niskie wynagrodzenia wiceministrów, czyli podsekretarzy i sekretarzy stanu.

Ministrowie są od wyznaczania kierunków i wielkiej partyjnej polityki. Każdy, kto bliżej przyglądał się działalności rządu w Polsce wie, że to właśnie na pracy ministerialnych zastępców, oczywiście tych zdolnych i profesjonalnych, opiera się działanie państwa. Wynagradzani są za to marnie, co tworzy patologiczny system, w którym najczęściej po roku czy dwóch wykorystują zdobyte kompetencje oraz kontakty i uciekają do państwowych spółek czy regulowanego przez rząd biznesu. Przy okazji wprowadzanych przez PiS cięć najbardziej oberwali z kolei parlamentarzyści i samorządowcy.

Moment na dosypywanie pieniędzy politykom wybrano jednak fatalnie. Przez świat przetacza się kryzys wywołany przez pandemię, polska gospodarka skurczyła się w drugim kwartale o ponad 8 proc. (najwięcej od 1990 r.), a przed jesienią miliony Polaków drżą o pracę i przyszłość. Trzeba być naprawdę oderwanym od rzeczywistości, żeby teraz dawać ministrom i posłom podwyżki od 50 do ponad 100 proc.

Na świecie jest odwrotnie: politycy obcinają sobie pensje, żeby okazać solidarność z ubożającymi obywatelami. U nas mogliby przynajmniej nie podwyższać.

Co gorsza, projekt błyskawicznie przemknął przez Sejm i z milczącym, ale wyraźnym poparciem prawie całej opozycji, z którego wyłamało się zaledwie kilkudziesięciu posłów różnych ugrupowań. Opozycja, która zwykle próbowała zatrzymać PiS-owski legislacyjny walec, tym razem ochoczo na niego wsiadła, dając okropny przykład politycznego tchórzostwa i hipokryzji. Sytuację mamy paradoksalną: odpowiedzialność za projekt powinien ponieść PiS, bo to obóz władzy jest jego autorem, ale dostanie się (i słusznie) opozycji, bo też jej wyborcy stawiają przed nią wyższe standardy. Można się założyć, że słupki PiS po tej operacji nawet nie drgną. Dopiero w weekend politycy opozycji poszli po rozum do głowy, ale wizerunkowe straty będą już bardzo trudne do odrobienia.

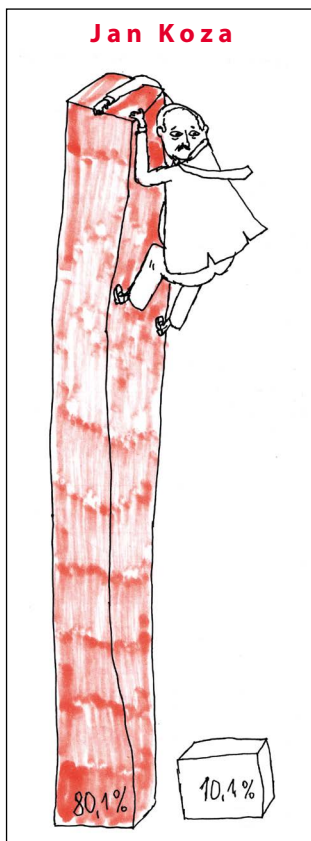
Nad pensjami polityków, w odpowiednim czasie, powinna się odbyć uczciwa debata. Aż głupio pisać takie truizmy: w demokratycznym kraju powinniśmy oczekiwać, że projekt zostanie wniesiony odpowiednio wcześniej, opatrzone wyliczeniami uzasadnieniem, z podaniem przykładów innych krajów, porównaniem dochodów polityków do PKB itd. I po takiej dyskusji zmiany powinny być przegłosowane – z zachowaniem zasady, że posłowie nie mogą regulować swoich pensji, tylko swoich następców, parlamentarzystów kolejnej kadencji. Jako obywatele i wyborcy, niezależnie od politycznych kolorów, mamy prawo tego wymagać.

Kolejnym krokiem władzy, która próbuje zdyskontować wynik wyborów prezydenckich, ma być uderzenie w niezależne media. Do akcji wraca Joanna Lichocka, która uznała, że odczekała już karencję po pokazaniu środkowego palca posłom i wyborcom opozycji oraz organizacjom pacjentów. Posłanka obiecała, że PiS wkrótce pokaże projekt ustawy o „dekoncentracji” mediów, który doprowadzi do ich „repolonizacji” zgodnie z kierunkiem wskazanym przez Jarosława Kaczyńskiego. Ustawa ma uderzyć głównie w media z niemieckim kapitałem: regionalne gazety i concern Ringier Axel Springer, bo Amerykanów PiS raczej nie odważy

się zaatakować. Poza tym wydawcy mogą się spodziewać kija, czyli administracyjnych i podatkowych represji, oraz marchewki, czyli ofert wykupienia udziałów składanych przez państwowe concerny.

Ta kruczata przeciwko mediom pokazuje, jak bardzo Jarosław Kaczyński nie nadąża za współczesnymi czasami. Dziś przed słowem nie da się już zamknąć granic, już nie wystarczy mieć swojej TVP, zaprzyjaźnionych mediów i rozbić zachodniej konkurencji, żeby zapewnić sobie rząd dusz. Przykład buntującej się przeciwko Aleksandrowi Łukaszence Białorusi pokazuje, że w czasach internetu i mediów społecznościowych monopol informacyjny już nie istnieje (o czym medioznawca prof. Michał Krzyżanowski opowiada Jackowi Żakowskiemu na s. 21). Represje, zamykanie mediów i dziennikarzy, wysiłki Łukaszenków, Orbánów i Erdoğanów są na dłuższą metę skazane na porażkę.

Zdaniem prof. Krzyżanowskiego covid jednocześnie pokazał, że autorytarny populizm nie radzi sobie z rządzeniem w sytuacji prawdziwego – a nie tylko wymyślanego – kryzysu. Jego zdaniem kulturowe wojny, od których zaczęliśmy ten komentarz, w końcu zjedną na drugi plan. Kryzys zmusi ludzi do tego, żeby przestali nadmuchiwać symbole i wymachiwać fałszywymi proporcjami, tylko wrócili do realnych problemów społecznych i gospodarczych. Czego tylko powinniśmy sobie życzyć.



© JAN KOZA

Poradnik demonstranta

Po ostatnich demonstracjach środowisk LGBT i starciach z policją warto przypomnieć, jak prawo reguluje kontakty obywatela z policją.

Wolność zgromadzeń dotyczy tylko zgromadzeń pokojowych.

Jeśli nawet tylko pojedyncze osoby zachowują się agresywnie lub łamią prawo, a przewodniczący zgromadzenia nie reaguje albo jeśli jest to zgromadzenie bez przewodniczącego – policja może je rozwiązać. W takiej sytuacji trzykrotnie wzywa do rozejścia się.

Każdemu poleceniu policji należy się podporządkować, nawet jeśli uznamy je za bezprawne (potem można się skarżyć na czynności policji).

Niepodporządkowanie jest wykroczeniem. Za czynny opór (np. wrywanie się) można odpowiadać karnie za „stosowanie przemocy lub groźby bezprawnej w celu zmuszenia funkcjonariusza (...) do przedsięwzięcia lub zaniechania prawnej czynności służbowej” – art. 224 par. 2 kk, kara od 3 miesięcy do 5 lat. Popularnym zarzutem dla tak zachowujących się demonstrantów jest też naruszenie nietykalności funkcjonariusza – art. 222 kk, kara do 3 lat. Jeśli w sądzie udowodni się, że naruszenie nietykalności wywołało „niewłaściwe zachowanie się funkcjonariusza”, sąd może odstąpić od wymierzenia kary. Ale demonstrant będzie w rejestrze osób karanych.

Powyższa zasada obowiązuje w każdej sytuacji. Nawet jeśli policjant nie chce się przedstawić i nie ma numeru służbowego na mundurze, i tak trzeba wykonać jego polecenie.

Policja może wylegitymować, a także spisać każdego

i zawsze, działa bowiem nie tylko na rzecz wykrywania i ścigania przestępstw, ale też zapobiegania im. I może powiedzieć, że legitymowanie miało cel profilaktyczny. Legitymowanie nie może trwać godzinami – takie zachowanie policji jest naruszeniem prawa.

Zatrzymać policja może jedynie w sytuacji, gdy ma „uzasadnione przypuszczenie”, że zatrzymany popełnił przestępstwo. (W przypadku ostatniego protestu osób LGBT policja powoływała się na art. 254 par. 1 kk, czyli udział



w zbiegowisku, którego uczestnicy „wspólnymi siłami dopuszczają się gwałtownego zamachu na osobę lub mienie”). Policja może też zatrzymać w celu ustalenia tożsamości, jeśli ktoś odmawia wylegitymowania się (policja może twierdzić, że skoro ktoś ukrywa swoją tożsamość, to może być poszukiwany).

Wobec osób stawiających czynny opór przy zatrzymaniu można zastosować tzw. środki przymusu bezpośredniego,

jak pałki, paralizatory czy chwytty obezwładniające. W Polsce nie jest zakazane podduszanie. Środków przymusu można używać tylko w razie absolutnej konieczności, w sposób adekwatny do sytuacji. Ustawa o policji nakazuje stosować środki najmniej dolegliwe, wystarczające do osiągnięcia celu. Osoby stawiające bierny opór policja może wynieść ze zgromadzenia.

Wykrzykiwanie obraźliwych słów pod adresem policjantów może być uznane za przestępstwo znieważenia funkcjonariusza na służbie.

Policjantom nie wolno podczas interwencji lub w trakcie zatrzymania znieważać, poniżać czy bić.

Przeszukanie osobiste (rozebranie do naga i kucanie) może być dokonane, tylko jeśli jest uzasadnione okolicznościami. Przeprowadzają je funkcjonariusze tej samej płci co zatrzymany. Jeśli ktoś deklaruje transseksualność, policja powinna wydelegować do przeszukania osobę tej samej płci, z którą identyfikuje się osoba zatrzymana – wynika to z zasady poszanowania godności i prywatności.

Zatrzymany ma prawo do kontaktu z obrońcą

(art. 245 par. 1 kpk) i do telefonu do osoby bliskiej, by poinformować ją o sytuacji. Ma prawo dostać leki, które stale bierze, oraz skontaktować się z lekarzem, jeśli źle się czuje. Zatrzymany powinien dostać informację o swoich prawach. Może odmówić składania wyjaśnień. Powinien móc przeczytać protokół ze swoich wyjaśnień, zanim go podpisze – może też wnieść uwagi lub odmówić podpisywania go.

Zatrzymanie może trwać maksimum 48 godz.

Chyba że policja wnieśli do sądu o areszt. Na decyzję sąd ma 24 godz. W sumie zatrzymanie nie może trwać dłużej niż 72 godz. (ES)

Policja: rozkazy idą z góry – s. 15.

Bezkarność plus

Pis przyzwyczaiło nas już do tego, że pod hasłem walki z pandemią Covid-19 przemycą rozmaite mniej lub bardziej kontrowersyjne regulacje prawne, niezwiązane z troską o zdrowie Polaków. Służą mu do tego ustawy tarczowe i specustawa covidowa, których pojemność wydaje się nieograniczona. Co rusz trafiają tam wrzutki, oczywiście pod postacią projektów poselskich, bo nie trzeba ich z nikim konsultować ani dołączać oceny skutków regulacji. Sporo tych zaskakujących zmian ma charakter represyjny, zaostrażający odpowiedzialność przedsiębiorców, medyków i wielu grup zawodowych. Medycy pod wrażeniem czekających ich surowszych covidowych kar wyszli nawet na ulice, by protestować.

Są jednak i tacy którzy mogą liczyć na większą pobłażliwość Temidy: to politycy i urzędnicy. W ustawie „o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem Covid-19” pojawił się niebawem art. 10d: „Nie popełnia przestępstwa, kto w celu przeciwdziałania Covid-19 narusza obowiązki służbowe lub obowiązujące przepisy, jeżeli działa w interesie społecznym i bez naruszania tych obowiązków lub przepisów podjęte działanie nie byłoby możliwe lub byłoby skutecznie utrudnione”. W uzasadnieniu wyjaśniono, że przepis ten będzie działał wstecz, bo wynika to z obowiązującej w prawie karnym reguły nakazującej sądowi stosowanie ustawy „względniejszej dla sprawy”, czyli korzystniejszej.



Projekt zyskał już nazwę „**lex Sasin**”, od nazwiska głównego beneficjenta, dla którego ma to być tarcza chroniąca przed odpowiedzialnością za straty spowodowane słynnymi niedosłymi wyborami kopertowymi.

Prawnicy komentujący projekt lex Sasin nie zostawiają na nim suchej nitki. Dr Mikołaj Małecki z Katedry Prawa Karnego UJ: „Nie może być tak, że władza polityczna uchwała sobie przepis wyłączający odpowiedzialność karną tej władzy politycznej za czyny już popełnione przez tę właśnie władzę. Taka legalizacja nadużyć prawa »w majestacie prawa« nie będzie korzystać z ochrony prawnej państwa praworządnego, o którym mowa w polskiej konstytucji”. (AG)

Sama na placu boju

Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, zgłoszona przez posłów Lewicy 38-letnia adwokatka, współpracowniczka Adama Bodnara, jest jedyną, jak na razie, oficjalną kandydatką na jego następczynię. Ma wsparcie ponad 380 organizacji pozarządowych (lista wciąż się wydłuża), które zawiązały porozumienie, by po raz drugi na stanowisko RPO wybrano społecznego kandydata. Do akcji Nasz Rzecznik dołączyły NGO-sy z całej Polski: od Polskiej Rady Biznesu, przez Fundację Rodzice mają głos, po Koło Gospodyń Wiejskich w Brodnicy.

Rudzińska-Bluszcz studiowała na Uniwersytecie Warszawskim oraz w Cardiff Law School w Wielkiej Brytanii. Po prawie zdobyła aplikację adwokacką. Jako 31-latką została jedną z najmłodszych sędzi w Wyższym Sądzie Dyscyplinarnym Adwokatury przy Naczelnej Radzie Adwokackiej. Pracowała w prestiżowych kancelariach, jest też absolwentką programów Marshall Memorial Fellowship i Leadership Academy for Poland. Wyróżniającą się prawniczkę dostrzegł w 2015 r. Adam Bodnar i zatrudnił w swoim biurze jako koordynatorkę ds. strategicznych postępowań sądowych, czyli przełomowych spraw wpływających na zmianę linii orzeczniczych. Rudzińska-Bluszcz najbardziej zaangażowana jest w problemy osób z niepełnosprawnościami, dzieci i osób starszych oraz w ochronę



wolności słowa. Zajmowała się głośną sprawą pracowniczki ochrony z Lublina, którą przez kilka lat zatrudniano na dwutygodniowe umowy, oraz precedensową sprawą Sikha z Londynu, który podczas kontroli bezpieczeństwa na warszawskim lotnisku musiał zdejmować turban, co zgodnie z jego wiarą stanowi obrazę symboli religijnych. W jeszcze innej sprawie dowodziła, że prawo do życia w czystym środowisku jest dobrem osobistym każdego człowieka. W 2017 r. koordynowała okrągły stół do walki ze szkodliwymi treściami w internecie. Z jej inicjatywy powstał pierwszy w Polsce raport opisujący patostreaming oraz strona Zglos.to. W środowisku uchodzi za idealistkę, która powtarza, że na jej patrzeć na prawo i wolności wpłynęli konsekwentnie walczący o sprawiedliwość ludzie, których spotkała jako młoda adwokatka. O swoim kandydowaniu na stanowisko RPO mówi, że to obowiązek.

Kadencja Adama Bodnara wygasa 9 września. PiS swojego kandydata na jego następcę jak dotąd nie zgłosił. Nowy RPO musi zostać też zaakceptowany przez Senat, w którym większość ma opozycja, więc negocjacje polityczne mogą potrwać miesiącami. Ich stawka jest ogromna – to ochrona niezależności nie tylko samego stanowiska, ale też ośrodka kontroli władzy, jednego z ostatnich, które pozostały. (AgSzcz)

KOMENTARZ

Transpoprawność w radiu

Jan Hartman

W środowisku dziennikarskim trwa gorączkowa dyskusja na temat granic poprawności politycznej. Wywołała ją **Piotr Jedliński**, prezes spółki prowadzącej Radio Nowy Świat, broniąc prawa dziennikarzy swojej stacji do określania aktywistki LGBT Margot za pomocą jej formalnego imienia i nazwiska (Michał Sz.) oraz męskoosobowego słowa „aktywista”. Rzecz w tym, że dla wielu osób transpłciowych ich metrykalne imię jest tzw. deadname, imieniem wskazującym na płeć, z którą się nie identyfikują i do tej płci ich przywiązującym. Nazwanie Margot Michałem Sz. jest dla niej po prostu bolesne i może być odbierane jako złośliwość oraz brak zrozumienia dla potrzeb i praw osób transpłciowych. Jedliński, pomimo pojednawczych i korygujących wypowiedzi, został przez koleżanki i kolegów poproszony o rezygnację z funkcji prezesa. Szuka nowej pracy. Dziennikarze są podzielnii w opiniach, lecz zdaje się przeważać stanowisko, które Agnieszka Gozdyra ujęła słowami: „Tkwimy w pułapce hiperpoprawności”. Wszyscy mamy już zadyszkę, nie nadążamy za coraz to nowymi wymaganiami i chcielibyśmy ustalić jakieś granice.

Sądzę, że zastrzeżenia do wypowiedzi Jedlińskiego, który w imię dziennikarskiej wolności słowa domaga się tolerancji dla wypowiedzi niewypełniających najbardziej aktualnego stanu poprawności politycznej, są w zasadzie słuszne. Nie mogą jednakże zaakceptować represji, które go spotkały. Osoby dbające o poprawność polityczną, wyzuczone na wszelkie formy wykluczenia i nietolerancji, powinny szczególnie starannie wystrzegać się społecznego rytuału zabijania kozła ofiarnego – równie opresyjnego, jak lekceważące i pozbawione

empatii sposoby wyrażania się. A Jedliński właśnie stał się w tej sprawie kozłem ofiarnym poświęconym na ołtarzu czystości ideowej Radia Nowy Świat. „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły” – nie sądzę, aby nowa radiostacja na swoim rygoryzmie miała wizerunkowo zyskać.



Dyskusje o poprawności politycznej zawsze powiązane są z bardziej merytorycznymi sporami o „rzecz samą”. Jeden z takich sporów – właśnie odnoszący się do osób transpłciowych – wywołała niedawno J.K. Rowling, broniąca tezy, że zrównywanie transpłciowych kobiet z pozostałymi może być odbierane jako negowanie istnienia płci biologicznej, ze szkodą dla feminizmu. Argument jak argument – dyskusja się toczy, poprawność polityczna jest gdzieś w tle, lecz nikt nikogo z pracy nie usuwa. Chyba czas już, abyśmy wyrośli z krótkich spodenek zagorzałych neofitów rewolucji.

Tytułem eksperymentu pójdźmy o krok dalej niż krytycy Jedlińskiego. Margot ma prawo oczekiwać, że przez wzgląd na jej uczucia nie będzie się publicznie przypominać, iż oficjalnie nazywa się Michał Sz. Jednak to, że się tak nazywa, jest faktem, a nikomu nie wolno zabraniać mówienia o faktach. Wszystko zależy od intencji i kontekstu. A gdybyśmy tak zdecydowali się na prawdziwą reformę języka i uznali, że „Michał” może być także rodzaju żeńskiego? Nie mieści się w głowie? Ano właśnie o to chodzi, żeby mieć głowę jak najbardziej otwartą! „Michał Sz. została aresztowana” – jak to brzmi? Czy wolno zadawać gwałt gramatyce języka, jego frazeologii i stylistyce, aby uczynić zadość wymaganiom, jakie stawiają nam wartości i ideały, w które wierzymy? Ależ oczywiście, że tak! Język jest dla ludzi, a nie ludzie dla języka. Mamy prawo go zmieniać i kształtować – i robimy to nieustannie. Również z powodów ideowych i politycznych. Zamiast się kłócić i wyrzucać z roboty, szukajmy nowych rozwiązań.

Moda na ruchy

Marek Borowski

Widmo krąży nad Polską! Widmo ruchów obywatelskich. Pierwszy był PiS, bo czymże innym, jak nie ruchem obywatelskim są wyznawcy ojca dyrektora czy Klubu „Gazety Polskiej”? Teraz szykują się Hołownia i Trzaskowski. Tylko patrzeć, jak w ich ślady pójdzie lewica i ludowcy, a i Konfederacja może pochwalić się krótko ostrzyżonym i stosownie wytatuowanym ruchem obywatelskim w koszulkach z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny!”. Jeśli ta wizja się ziści, będziemy świadkami nie tylko wojen i wojenek między partiami (do czego niestety już przywykliśmy), ale także między ruchami obywatelskimi – co wyniesie naszą demokrację na jeszcze wyższy poziom. To oczywiście skrajna i przejawiskawiona perspektywa, ale dobrze pokazująca, że tworzenie ruchów obywatelskich przez każdą partię z osobna to droga donikąd. Partie mogą co najwyżej (i jest to nawet wskazane) tworzyć zaplecze złożone z sympatyków, czyli ludzi, którzy popierają główne tezy programowe danego ugrupowania, ale z różnych powodów nie chcą czy nie mogą angażować swojego czasu lub nazwiska w działalność stricte partyjną.

Opozycyjnym partiom demokratycznym powinno chyba jednak chodzić o stworzenie wielkiego, milionowego ruchu obywatelskiego, którego członkowie mieliby różne poglądy na wysokość podatków, politykę socjalną czy mieszkaniową (w związku z czym głosowaliby na różne partie), ale łączyłaby ich odmienna od praktykowanej przez PiS wizja państwa i społeczeństwa. Państwa, które powinno dbać o prawa i wolności obywatelskie, o praworządność, o samorządność, o dobre funkcjonowanie wszystkich instytucji kontroli władzy, wreszcie o zwykłą uczciwość i transparentność rządzenia. Oraz społeczeństwa: pluralistycznego, szanującego różne poglądy, wyznania i inne odmienności; w którym nikt nikomu nie



narzuca sposobu życia i definicji szczęścia, otwartego na inne nacje i rozumiejącego wyzwania stojące przed Polską i naszą planetą.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że wystarczy rzucić te hasła, a ludzie masowo będą się garnąć do działania. Tak właśnie opozycja postępowała przez ostatnie pięć lat – ze skutkiem wiadomym. Najpierw trzeba tę wizję skonkretyzować, opracować przepisy i mechanizmy, które będą gwarantowały jej realizację, poddać publicznej otwartej dyskusji, a wtedy jest szansa, że takiej wizji obywatele zechcą aktywnie bronić. I tu dochodzimy do roli partii politycznych, a i indywidualnie Rafała Trzaskowskiego. Otóż ta skonkretyzowana wizja, swoista Magna Charta demokratycznej Polski, jeśli ma zostać zaakceptowana przez różne środowiska opozycyjne, musi być wspólnym dziełem zarówno Borysa Budki, jak i Szymona Hołowni, Władysława Kosiniaka-Kamysza i liderów Lewicy. Rafał Trzaskowski powinien zainicjować takie spotkanie i rozmowy. Nie jako przedstawiciel Platformy Obywatelskiej, ale jako polityk, na którego zagłosowało 10 mln ludzi, zwolenników nie tylko PO, ale także PSL, Lewicy czy Szymona Hołowni.

Jeśli w tych, elementarnych dla ustroju i praw obywatelskich, kwestiach opozycja nie będzie w stanie się porozumieć, to droga do zaprowadzenia w Polsce modelu węgierskiego zostanie ostatecznie otwarta. Z kolei sukces tej inicjatywy jest warunkiem przedstawienia PiS-owi za trzy lata – jeśli sytuacja będzie tego wymagać – wspólnej listy demokratycznej opozycji w wyborach do Sejmu (co do Senatu, to ścieżka już została przetarta). O takiej opcji wspominali ostatnio i Budka, i Trzaskowski. Problem w tym, że kiedy rok temu zaproponowałem takie rozwiązanie, nie zgodził się na to Kosiniak-Kamysz, mimo że elementem porozumienia miało być wystawienie go jako wspólnego kandydata opozycji w wyborach prezydenckich! Dziś pewnie tego bardzo żałuje. Podobno uczymy się na błędach – oby tylko ta nauka trwała nie dłużej niż trzy lata.

Medyczny Pegasus

Bez rozgłosu, pod hasłem usprawnienia systemu powiadamiania ratowniczego, PiS wprowadził przepisy, które dają rządowi nieograniczony dostęp do wrażliwych danych osób korzystających z pomocy pogotowia ratunkowego, a nawet tych, którzy pomoc wzywali. Zakres informacji, nad którymi kontrolę przejęli od niedawna m.in. minister zdrowia i wojewodowie, jest tak szeroki, że w środowisku ratowników mówi się o „medycznym Pegasusie”. – Kiedy ktoś dzwoni po pomoc, podaje nie tylko informacje o osobie jej potrzebującej, ale też o sobie oraz o okolicznościach zdarzenia – mówi jedna z ważnych osób w tym środowisku. – Załoga karetki te dane weryfikuje, dodając np. informacje o obrażeniach czy schorzeniach, podanych lekach. Wszystko to trafia do systemu – dodaje. Czyli do Systemu Wspomagania Dowodzenia Państwowego Ratownictwa Medycznego (SWD PRM).

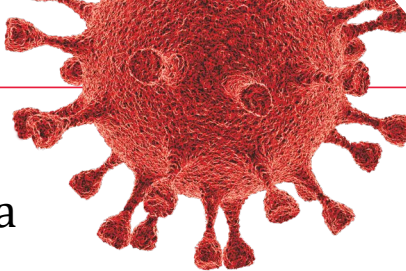
Do niedawna to, co pogotowia wiedziały o pacjentach i wypadkach, nie wychodziło poza należące do nich serwery. Sytuacja zmieniła się wraz z wejściem w życie nowelizowanej już dwa razy za rządów PiS ustawy o państwowym ratownictwie medycznym. Chodzi głównie o zmienione w 2018 r. przepisy, które teraz głoszą, że pod kontrolą resortu

zdrowia i wojewodów są dane gromadzone w systemie, czyli „nagrania rozmów telefonicznych”, „dane osobowe osoby zgłaszającej”, ale również „dane innych osób wskazanych w trakcie przyjmowania zgłoszenia, pozycje geograficzne, dane teleadresowe lub opis zdarzenia”. Czyli wszystko, co załoga karetki odnotowała – np. że poszkodowany miał na sobie podartą koszulę albo że w mieszkaniu panował bałagan. Takiego zapisu wcześniej nie było.

Teraz zatem nie tylko stacje pogotowia, ale m.in. upoważnieni przez ministra zdrowia i wojewodów podlegli im urzędnicy mają dostęp do tego, co pogotowie wie na nasz temat. Co więcej: dzięki art. 24b zgromadzone dane mogą być udostępniane m.in. policji oraz prokuraturze. Dodatkowo to właśnie komendant główny policji razem z ministrem finansów udostępnił miejsca dla serwerowni SWD PRM.

– To rodzi ogromne zagrożenia, bo utrudniono zabezpieczenie danych wrażliwych. Nie mamy nad nimi pełnej kontroli, choć to my je zbieramy – podkreśla ratownik z wieloletnim stażem. Wskazuje również na polityczne tło nowelizacji. – Nietrudno wyobrazić sobie, że dochodzi do zdarzenia z udziałem znanego polityka opozycji, np. zaśląbnicia po hucznej imprezie albo obrażeń odniesionych pod wpływem alkoholu. Gdyby taka informacja została upubliczniona, skutek byłby łatwy do przewidzenia. Przy tym, jak działa obecnie prokuratura, zapewne bez konsekwencji dla sprawców wycieku – podkreśla. (GR)





KOMENTARZ

Szczepionkowa zimna wojna

Marcin Rotkiewicz

Sputnik V to nazwa rosyjskiej szczepionki przeciw Covid-19, nieprzypadkowo nawiązująca do pamiętnego zwycięstwa ZSRR nad USA w październiku 1957 r. Wówczas Sputnik-1 został pierwszym sztucznym satelitą Ziemi, a Amerykanie wpadli w po płoch, widząc, że przegrywają kosmiczny wyścig. Przegonili Rosjan dopiero 12 lat później, wysyłając ludzi na Księżyc.

Sputnik V (V od ang. *vaccine*, czyli szczepionka) też miałby świadczyć o ponownej dominacji rosyjskiej myśli naukowo-technicznej (preparat powstał w państwowym instytucie). Trudno jednak mówić o powtórce z historii. Choć bowiem o zatwierdzeniu preparatu do użycia (ale tylko w awaryjnych sytuacjach, czyli np. poważnego zagrożenia personelu medycznego) poinformował w ubiegłym tygodniu sam prezydent Putin, świat naukowy odniósł się sceptycznie do tej wiadomości. Tworzenie szczepionki to nie sprint, ale długi, wieloetapowy bieg. Tymczasem rosyjski preparat dopiero rozpoczął trzecią fazę badań klinicznych, podczas której, dzięki udziałowi tysięcy ochotników, można ostatecznie ocenić skuteczność oraz – co nie mniej ważne – bezpieczeństwo szczepionki. Innymi słowy, nie wiadomo, czy Sputnik V potrafi bez poważnych

skutków ubocznych (a Rosjanie zastosowali stosunkowo nową technologię) chronić przed wirusem SARS-CoV-2.

Ponadto Chińczycy już 25 czerwca zatwierdzili własną szczepionkę do stosowania wśród żołnierzy (też nie przeszła trzeciej fazy badań klinicznych), więc to raczej im należałoby się palma pierwszeństwa. A obecnie na świecie trwają prace nad ponad 165 szczepionkami – 31 z nich znajduje się w fazie badań z udziałem ludzi, w tym 8 w ostatniej, trzeciej.

Działania Moskwy budzą poważne obawy, czy szczepionkowy wyścig nie stanie się politycznym spektaklem, w którym bezpieczeństwo ludzi zjeździe na dalszy plan. Nie dotyczy to tylko Rosji, ale również USA. Niedawno dziennik „The New York Times” pisał, czy administracja prezydenta Trumpa nie będzie skłonna iść na skróty, zatwierdzając szczepionki, by spróbować zdążyć przed listopadowymi wyborami. Amerykański rząd przeznaczył miliardy na przyspieszenie prac w ramach programu „Operacja Warp Speed”. Nazwa nawiązuje do słynnego serialu science fiction „Star Trek”, w którym pojazdy kosmiczne potrafiły poruszać się szybciej niż światło (czyli z prędkością warp).

Jeśli rzeczywiście polityka wygra z odpowiedzialnością, może to przynieść tragiczne skutki i podważyć na lata zaufanie do nauki; byłby to silny wiatr w żagle dla ruchów antyszczepionkowych.

Pokój imienia Trumpa

Donald Trump niespodziewanie ogłosił, że Izrael i Zjednoczone Emiraty Arabskie „dwaj kluczowi partnerzy Ameryki w regionie”, nawiążą stosunki dyplomatyczne. Wcześniej zrobiły to tylko dwa kraje arabskie: Egipt (1979) i Jordania (1994), więc z miejsca nowe porozumienie obwołało historycznym. A Trump dorzucił skromnie, że chciałby, aby nosiło jego imię. Prezydentowi bardzo przyda się ten chyba pierwszy sukces dyplomatyczny, bo jego notowania przed

listopadowymi wyborami dołują, także premier Netanjahu ma w Izraelu bardzo napiętą sytuację i proces o korupcję na głowie.

Calą trójkę połączył wspólny wróg: Iran. A jest się czego obawiać w obliczu rozbudowywanej pozycji militarnej, pogroźek i awansów w terenie: w Syrii, Jemenie, Iraku i Libanie. Izrael jako jawny sojusznik, i jego najsilniejsza armia w regionie, to dla Emiratów ważny walor, skorzysta też zapewne na zapowiedzianej współpracy gospodarczej, naukowej i każdej innej. Zresztą cicha kooperacja narastała od lat, zwłaszcza w dziedzinie wywiadu.

Przez długie lata Emiraty uzależniały porozumienie z Izraelem od postępów w kwestii palestyńskiej. Teraz zadowolili się deklaracją Netanjahu o wstrzymaniu częściowej aneksji Zachodniego Brzegu, co jest gwarancją dosyć płynną. Oznacza to, że Palestyna przestaje być kwestią nadrzędną, a nawet można się było spotkać z opinią, że to dziś „anachroniczny fetysz”. Zresztą, według źródeł, władze palestyńskie dowiedziały się o porozumieniu jako ostatnie. Spekuluje się, że teraz, w dziele normalizacji z Izraelem, przyjdzie pora na Bahrajn, a może też na innych. Do wygrania jest wiele, do przegrania – coraz samotniejsi Palestyńczycy.



Korpus za miliardy

Po wizycie amerykańskiego sekretarza stanu Mike'a Pompeo w Warszawie i podpisanej umowie wojskowej w budżecie MON powstała właśnie część nienaruszalna, choć nie wiadomo jak duża. Minister Mariusz Błaszczak ogłosił, że zamierza wydawać na zwiększoną obecność wojsk USA około pół miliarda złotych rocznie. Sprytnie jednak zaznaczył, że ma na myśli tylko koszty utrzymania - wikt i opierunek dla 5,5 tys. wojsk docelowo stacjonujących w Polsce. Wspomniał też coś o dodatkowych kosztach ćwiczeń, zmiennych i dziś nie do przewidzenia. Ale nic, poza deklaracją ich pokrycia, nie mówi o największej części polskich zobowiązań na rzecz Amerykanów - inwestycjach w infrastrukturę wojskową: lotniska, bazy, poligony. Lista jest obszerna, stanowi załącznik do nowej umowy obronnej z Amerykanami, kosztowny załącznik.

Wcześniej wskazywano sześć miejsc stacjonowania wojsk USA, ale w umowie znalazło się aż 19. Zamiast jednej bazy bezałogowców powstać mają trzy, powietrzne transportowce mają mieć trzy lotniska, stałe zakwaterowanie znajdzie kilkanaście tysięcy żołnierzy. MON odpowiada, że korpus z placówką dowodzenia w Polsce może dowodzić 20 tysiącami żołnierzy. Budowa infrastruktury na warunkach Amerykanów kosztować będzie przynajmniej drugie pół miliarda rocznie i potrwa latami. Przyda się to wszystko na ćwiczenia, w celu odstraszenia, ostatecznie w razie konfliktu czy wojny - ale tylko pod warunkiem, że Amerykanie podtrzymają polityczną wolę obecności swych wojsk w Polsce przez wiele dekad.

Tymczasem Pentagon nie dał się przekonać do zmiany podejścia i do Polski wysłać żołnierzy na zasadzie rotacji. Będą się zmieniać co dziewięć miesięcy, tak by kontyngent był stale utrzymywany, choć bez stałej bazy. Taka konstrukcja pozwala łatwo zmieniać i kończyć ich misje, gdy prezydent-głównodowodzący uzna, że żołnierze są mu potrzebni gdzie indziej. W najbliższych latach i dekadach oznacza to przede wszystkim Azję i rywalizację USA z Chinami, na tle których Europa i zagrożenie ze strony Rosji szybko traci znaczenie. To dlatego Trump wycofuje całą brygadę z Niemiec i kontyngent marines z Norwegii. Również dlatego, budując zaplecze dla Amerykanów, powinniśmy szykować je dla innych sojuszników z NATO.

MARKA ŚWIERCZYŃSKI

Konwencja już nie stambulska?

Turcja zamierza wystąpić z Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej, tzw. stambulskiej, bo tam ją przyjęto. Gdy prezydent Recep Tayyip Erdoğan ją podpisywał w 2011 r., przedstawiał to jako dowód na wyjątkowe poszanowanie praw człowieka w Turcji. Ale już dwa lata później mówił, że równość płci jest „wbrew naturze”. A ostatnio władze i wpływowi duchowni się nie patyczkowali – konwencja ma według nich zachęcać do rozwodów i „niszczyć moralność”. Jeden



z nich powiedział nawet, że zawarty w niej wymóg obrony ofiary przemocy bez względu na orientację seksualną oznacza promocję homoseksualizmu.

Według organizacji pomocowej KCDP w zeszłym roku ponad 500 Turczynek zginęło tylko dlatego, że były kobietami – to cztery razy więcej niż w 2011 r. Szacuje się, że 40 proc. kobiet w Turcji padło ofiarą przemocy domowej (w Europie średnio 25 proc.) i tylko co dziesiąta zgłosiła sprawę na policji. M.in. dzięki KCDP powstała specjalna aplikacja dla zagrożonych przemocą – ściągnęło ją już 470 tys. Turczynek. Obróńcy praw człowieka alarmują, że choć konwencja nigdy tak naprawdę nie została w Turcji wdrożona, to jej porzucenie wywoła efekt domina i kobiety wkrótce stracą kolejne prawa. Sprawa jest już w zasadzie przesądzona, bo Erdoğan swoją władzę w coraz większym stopniu opiera na radykalnym, islamistycznym elektoracie. Brzmi znajomo.

Chińczyku, nie zostawiaj

Do rozmaitych kampanii społecznych, prowadzonych w Chinach od lat, doszła właśnie nowa, pod hasłem „Czysty talerz”. Inicjatywa przyszła z samej góry, w jednym z ostatnich wystąpień przewodniczący Xi wspominał, że „szokuje go i doprowadza do rozpacz” ilość marnowanego w Chinach jedzenia. To nie jest postawa godna czasów pandemii – piętnował przewodniczący – i walki o zachowanie bezpieczeństwa żywnościowego. Dane zebrane przez międzynarodową organizację WWF mówią o 18 mln ton marnowanego jedzenia rocznie; można by nim wyżywić dodatkowo 30–50 mln osób. Za słowami szybko poszły czyny: w Wuhan, aglomeracji najciężej dotkniętej wirusem, wprowadzono we wszystkich restauracjach zasadę „n minus jeden”. Czyli że można jedynie zamówić tyle dań, ilu jest stołowników, minus jedno (więc sześć osób ma prawo do pięciu porcji), tak aby nie zostawało na talerzach. To zbyt surowa zasada – zareagowały hurmem media społecznościowe, bo dobry obyczaj wymaga, aby jedzenia było dużo za dużo, taka jest



naczelna chińska zasada gościnności. A pusty talerz oznacza złego gospodarza. Jako jedna z konsekwencji: już w 2016 r. Chiny wyprzedziły USA pod względem liczby ludzi otyłych i chorobliwie grubych.

Dyskusja o liczbie dań narastała, bo zasady z Wuhan zaczęły samorzutnie przejmować cały kraj (taki jest urok chińskich kampanii). Np. w Changsha przed wejściem do restauracji ważono klientów, aby proponować dania stosownie do wagi (na Weibo, chińskim Twitterze, tę wiadomość odtworzono 300 mln razy). Przy okazji ruszono do rozprawy ze zjawiskiem *mukbang*, które dotarło tutaj z Japonii i Korei Południowej i zrobiło wielką karierę. Chodzi o filmiki, na których celebryci bardzo szybko zjadają wielkie ilości jedzenia (a czasem wymiotują i opychają się na nowo). Szczególnie sprawnych w takiej konsumpcji nazywa się „królami wielkich żołądków”. Wkrótce jednak trzeba będzie używać czasu przeszłego, bo główne platformy wyłapują i eliminują takie filmiki. A na Weibo, kiedy w wyszukiwarce wpisze się „szybkie jedzenie”, czy coś w tym rodzaju, wyskakuje w zamian komunikat zachęcający do racjonalnego odżywiania się i umiarkowania.



Ich Sierpień

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI **Z MIŃSKA**

Białoruska rewolucja jest pierwszym krokiem ku niezależnej Białorusi, narodzinami nowoczesnego narodu i ostatnim akordem rozpadu ZSRR. Tylko musi się udać.



Tak upadają reżimy: w niedzielę, 16 sierpnia, mityng poparcia dla historycznie przemawiającego prezydenta Aleksandra Łukaszenki był może nawet kilkunastokrotnie mniejszy niż miński protest opozycji, na którym miało być 200 tys. obywateli, najwięcej w historii kraju. Jeszcze gorzej było w poniedziałek, gdy Łukaszenka przyjechał do fabryki MZKT i wypadł żałośnie. Robotnicy chórem wykrzykali mu w twarz „Odejdź!”.

Do czego porównać ewentualny upadek łukaszenkizmu? Ponieważ jest niezdolny do kompromisu, można z góry wykluczyć wszystkie scenariusze zakładające porozumienie z opozycją, powtórkę hiszpańskiej drogi do demokracji albo nasz Okrągły Stół. Jedno z dwojga: Łukaszenka, twierdzą, może skończyć jak Wiktor Janukowycz z Ukrainy (na wygnaniu, z ukradzioną fortuną) albo jak Nicolae Ceaușescu z Rumunii. Jego aparat przemocy i propagandy czeka podobny los.

Gdyby Rosja chciała jakiejs geopolitycznej zawieruchy, to rosyjska prasa i propaganda znacznie wcześniej szykowałyby podglebie, oczerniały opozycję, Putin wymyślałby spiskowe teorie i intensywnie gromadził wojska pod granicą. A zielone ludziki nie dawałyby się łapać pod Mińskiem, jak ośmieszeni najemnicy z grupy Wagnera, pokazani półnaczy w białoruskiej telewizji zaraz po zatrzymaniu.

Łukaszenka wydzwaniania jednak do Putina i otwarcie grozi własnemu społeczeństwu rosyjskimi czołgami. Jednocześnie Kreml i władze w Mińsku na okrągło sugerują szeptankę obcych państw, mających inspirować protestujących. Szefowa propagandowej rosyjskiej telewizji RT wzywa, by robić u zachodniego sąsiada „porządek”, a rosyjscy widzowie karmieni są widokiem mapy Rzeczypospolitej z 1619 r., gdzie województwo smoleńskie sięgało prawie do dzisiejszych przedmieść Moskwy.

Po kłopotach z Gruzją i Ukrainą Zachód Białorusinów dawno zostawił samych sobie. Przygląda się, trzyma kciuki i wspomina o sankcjach, obawiając się, że odrzucenie Łukaszenki utoruje drogę do jeszcze większych wpływów rosyjskich. Wiadomo, że ewentualny nowy prezydent, a zwłaszcza nowy porządek, będzie musiał być jakoś przez Rosję akceptowany. Najbardziej optymalny wydaje się przykład Armenii, państwa względnie niezależnego, względnie demokratycznego, ale obowiązkowo przychylnego Rosji i pozostającego poza zasięgiem planów dołączenia do NATO i Unii. Ten wariant może odpowiadać białoruskiej opozycji i ulicy, aż do przesady pokojowej, przytulającej chwilę wcześniej atakujących ją żołnierzy. Tak samo mało kto tęskni za integracją z Rosją. Zamiast się dopełniać, cofa się nawet kulturowa rusyfikacja, a niezależne media są dwujęzyczne, białoruski powoli się odradza.

Szanse na zmiany na Białorusi są wynikiem upadku autorytetu dyktatora, dla wielu już byłej głowy państwa.

Ekspersi i ulica dają mu 15–20 proc. poparcia, głównie na prowincji. Kluczowy problem Łukaszenki i zbudowanego przez niego systemu polega na tym, że mentalnie utknęli w latach 80., góra 90. Jednocześnie dorosło pokolenie, które nie pamięta ZSRR, za to doskonale zna Zachód, Wschód i ich wartości, potrafi porównać poziomy dobrobytu, sposoby organizowania społeczeństw, widzi, kto cieszy się jakim zakresem wolności obywatelskiej czy gospodarczej.

Dla tego pokolenia oficjalna zielono-czerwona sowiecka flaga równa się zdradzie, woli nosić biało-czerwono-białą z czasów niepodległego państwa białoruskiego z 1918 r. Ta sowiecka jest popularna, jak sam Łukaszenka, głównie wśród najstarszych osób, które przeżyły swoje najlepsze lata w ZSRR, pragną znanej sobie stabilności i wystarczy im regularne wypłacanie pozwalającej nie umrzeć z głodu emerytury. Dla młodego pokolenia były dyrektor kołchozu rządzący państwem od 26 lat jest wybrykiem natury. One i oni wychowali się obok systemu, nikt nie musi ich dziś uczyć demokracji, solidarności i obsługi nowych technologii.

Łukaszenka poślizgnął się na koronawirusie. Negując zagrożenie, moralnie abdykował. Jego podejście szczególnie rozczarowało średnie pokolenie, obawiające się choroby i śmierci rodziców. Obywatele musieli zagrożeniem zająć się sami, zaczęli się łączyć w wysiłkach, składać na zakup maseczek i sprzętu, pomagać chorym i lekarzom. Władza traciła, zyskiwało społeczeństwo obywatelskie, powstawały nowe więzi, ludzie po prostu zaczęli się poznawać i ze sobą rozmawiać. Reżim stracił legitymację, bo przestał gwarantować elementarne bezpieczeństwo, nie poradził sobie też z odczuwalnym na co dzień kryzysem gospodarczym. Łukaszenka sam zachorował, ale zamiast budzić współczucie lub jakieś nadzieje, coraz bardziej się kompromitował.

Mentalne zacofanie prezydenta, zadufanie i ośli upór nie pozwoliły reżimowi w porę wychwycić nastrojów w kraju. Działal, jakby uwierzył w swój sfałszowany wynik, był przekonany, że po wsadzeniu do więzień najpoważniejszych kontrkandydatów skutecznie zmarginalizował opozycję. I że nie stanowi dla niego zagrożenia żona jednego z niedoszłych rywali, zajmująca się głównie wychowaniem dzieci. W końcu co może w polityce gospodyni domowa? Spróbował ordynarnie sfałszować wybory i miał chyba nadzieję, że jedno brutalne pałowanie w powyborczą noc zagoni niezadowolonych z powrotem do domów i reżim będzie miał spokój na kolejne pięć lat.

Ale znęcająca się nad pokojowo nastawionymi obywatelami władza zachowała się jak zewnętrzny agresor, rozkręcając przemoc, pozbawiła się legitymacji do rządzenia. Łukaszenka źle ocenił sytuację i nie docenił rodaków, zwłaszcza kobiet. Te z jego kręgu pełnią przecież zupełnie inne role, są wierne i posłusznie wypełniają rozkazy, jak szefowa komisji wyborczej Lidia Jermoszyna, w której gabinecie gnębiono liderkę opozycji Swiatłanę Cichanouską przed jej przymusowym wyjazdem z kraju. Albo jak przewodnicząca izby wyższej parlamentu Natalia Kaczanowa, pełniąca rolę białoruskiego Jerzego Urbana. Władca własną żonę zamknął w areszcie domowym, z osobistą lekarką ma syna, według chętnie opowiadanych plotek szuka towarzystwa prostytutki.

Tymczasem to kobiety wzięły na siebie ciężar protestów.

Szybko zjednoczyły opozycję i zorganizowały wyjątkowo skuteczne sztaby. Wizyta w biurze białoruskiej opozycji, rozmowa ze specami od mediów społecznościowych, organizacji wydarzeń masowych lub socjologami nabawiłaby kompleksów niemieckich i polskich polityków.

Ten nadekadek nowoczesności jest reakcją na polityczne zacofanie kraju, bo żeby obalić dyktatora, trzeba znacznie więcej niż zwykłych zwycięstw w demokratycznym wyścigu: przełamania monopolu informacyjnego władzy, wysiłku informatyków do przełamania blokady sieci i bardzo dobrych badań społecznych. Opozycja miała plan, skonstruowała go na długo przed wyborami. Wiedziała, co ma robić na kilka dni do przodu, i poinformowała społeczeństwo, zakładając blokadę internetu. Aż dziwne, bo wcześniej tak niewiele się o przeciwnikach Łukaszenki wiedziało i nie wyłonili oni wyraźnego lidera.

Pierwszy protest, zwołany jeszcze w wyborczą niedzielę na jednym z mińskich placów, udało się OMON-owi, specjalnym oddziałom milicji, zdusić. W kraju ruszyło się też kilkadziesiąt innych miast i nie wszędzie demonstracje rozpadły się. Następnego dnia na prowincji zbierano się znów na głównych placach, w Mińsku przy stacjach metra. Na skrzyżowaniu przy Uniwersamie Ryga powstała barykada, najostrzej było przy stacji Puszkinskaja. Tam OMON nie zadowolili się zajęciem terenu, zaatakował bez ostrzeżenia. Władza przeszła do fazy ofensywnej, uzbrojonych w tarcze i pałki członków wojsk wewnętrznych zastąpili uzbrojeni w karabiny OMON-owcy i tajniacy.

Granaty hukowe, rozbłyśkowe, gaz i armatki wodne stały się już tylko wstępem do strzelania gumowymi kulami (także polskiej produkcji, czego nasz MON nie wyjaśnił, choć ma obowiązek kontrolowania sprzedaży przez państwa trzecie i kraju przeznaczenia), gonienia i pałowania, a następnie przeczesywania osiedli w poszukiwaniu demonstrantów. Tysiące ludzi aresztowano, a w aresztach katowano, ich jęki dobiegały na ulice – i na komórki całej Białorusi. Do celi ośmioosobowej zamykano po 40–50 osób. W Homlu z braku miejsc ludzi trzymano w rozgrzanych samochodach, jeden chłopak zmarł.

Prasa niezależna udokumentowała przypadki użycia ostrej amunicji, jej posiadaniem w mediach społecznościowych ►

► chwalili się sami członkowie służb. Do następnej fazy podporządkowane Łukaszence siły przeszły kolejnej nocy, gdy już nie czekano, aż pojawią się demonstranci, tylko przykładnie karano każdego mężczyznę, który nawinął się na ulicy. Walono pałami w samochody, wyciągano kierowców i bito. Sadystyczna przemoc podzielała, demonstracje siadły. Po aresztowaniu 7 tys. osób wydawało się, że będzie jak zwykle.

I wtedy zdarzył się cud. W środę na ulice masowo wyszły kobiety, dziewczyny i dziewczynki. Ubrane na białą, trzymające kwiaty i pokazujące znak „V”. Ustawily się wzdłuż ulic i manifestowały przeciwko przemocy. Stały cały dzień. Szklily się oczy, a miasto wyło klaksonami. Po południu dołączyli lekarze, którzy widzieli rannych po pobiciach i mówili, że nigdy się z czymś takim nie spotkali. W czwartek dołączyli robotnicy kolejnych fabryk, począwszy od tych największych i najbardziej prestiżowych: ciężarówek Biełaz, azotów w Grodnie, mińskich traktorów i ciężarówek, dołączyła kolej. W piątek metro. Robotnicy zaczęli wizyty u burmistrzów. W sobotę zastrajkowali pracownicy telewizji publicznej i pierwsi dyplomaci. W niedzielę było już morze protestujących, w poniedziałek ogólnokrajowy strajk generalny i marsz robotników pod siedzibę telewizji. W programach informacyjnych pierwszy raz od 1996 r. zaczęły pojawiać się prawdziwe wiadomości.

Władza, OMON i milicja zgłupiała. Czegoś takiego nie przewidziano. Jak strzelać i pałować kobiety, lekarzy i robotników? I to był przełom. Opozycja odzyskała ulice, kontrolę nad sytuacją i skuteczność polityczną. Media społecznościowe zostały zalane zdjęciami i filmami pokazującymi kolejnych milicjantów i OMON-owców wyrzucających do śmieci mundury i zrywających ładujące w toaletach pagony. Brak przywódców paradoksalnie wzmacnia protest, bo Łukaszenka nie wie, kogo ma aresztować. Dziewczyny nie bały się absolutnie niczego. Poszły pod budynki KGB, opanowały wszystkie główne ulice. Pod gmachem

W ciągu tygodnia Białorusini okazali się prawdziwie świadomą wspólnotą polityczną. Niezależnie od rozwoju wypadków nikt im tego poczucia i tej dumy już nigdy nie odbierze.



razu wojsko symbolicznie opuściło tarcze. Kobiety wtykały w nie kwiaty i przytulały żołnierzy. Dla władzy to była kompromitacja, dla innych funkcjonariuszy sił zbrojnych rozbijający przykład. Na Leninie stojącym na cokole przed siedzibą rządu zawisł transparent zapewniający o tym, że Swiatłana Cichanouska jest prezydentem i głównodowodzącym w Republice Białorusi.

Dlaczego rewolucja przyszła dopiero teraz? Maria Kolesnikowa, ostatnia z trójki liderów, wciąż przebywająca na Białorusi (Cichanouska jest na Litwie, Weronika Cepkała w Rosji), przyznaje otwarcie, że wyłączając ostatnie wybory, Łukaszenka wygrywałby wszystkie poprzednie – demokratycznie. Fałszuje wyniki, dostawał regularnie 80 proc., bo bliższe prawdzie 55 proc. oznaczałoby, że nie jest jedynym przywódcą, że istnieje jakaś konkurencja. A to wykluczone, przecież w ZSRR nie było opozycji. Przez lata mógłby się obejść bez fałszerstw, bo jego reżimowi udawało się utrzymać całkiem niezły poziom życia. Co prawda w dużej mierze za rosyjskie subsydia, pomowane jako zachęta do białorusko-rosyjskiej integracji, ale Łukaszenka ma też realne osiągnięcia.

Sklepy są pełne, choć ceny bywają wysokie jak w Polsce czy na Litwie, przy znacznie mniejszych wynagrodzeniach.

PKB według parytetu siły nabywczej na jednostkę wynosi tu 22 tys. dol. Jeśli Białorusini obalą dyktatora i otworzą państwo na świat, będą w nieporównanie lepszej sytuacji niż Polska w 1989 r. Bardzo mocny jest sektor IT, o który Łukaszenka akurat dba, zostawiając mu sferę niemal całkowitej wolności. „Białoruski cud gospodarczy” jest oczywiście w dużej mierze sfinansowany przez Rosję, ale to także zasługa samodzielnego rozwoju, dobrej edukacji, niezłego zarządzania i rzetelnej pracy.

Nawet najbardziej nieprzychylni Łukaszence, jak torturowany Aleś Michałowicz, kandydat na prezydenta w wyborach 2010 r., z uznaniem mówią o poziomie życia na Białorusi. PKB na głowę mieszkańca jest ponaddwukrotnie wyższe niż na Ukrainie. Według Michałowicza Białoruś należy do Europy Północnej, ma jej etos pracy. Łukaszenka nie przetrwałby niemal trzech dekad ze wszystkimi swoimi dziwactwami, gdyby Białorusini przymierali głodem i nie mieli widoków na osobisty rozwój. Emigrują bardziej z powodów politycznych niż gospodarczych, młodzi korzystają z szerokiej oferty stypendialnej z najlepszych uczelni Europy i Stanów Zjednoczonych. Stąd normą wśród młodych inteligentów jest znajomość trzech–czterech języków. Rosyjski mają ze szkoły, białoruski z domu albo z mody jego używania, którzyś z zachodnich języków – polski, angielski, niemiecki czy włoski po stypendiach, na których zasuwały znacznie ciężiej niż ich rówieśnicy z innych stron.

Białoruś cierpi, bo raz źle wybrała i przez prawie trzy dekady musiała z tym wyborem żyć, a niektórzy umierać albo latami siedzieć w więzieniach. Karę śmierci wykonuje się tu strzałem w tył głowy. Zwłoki skazanych w sprawach politycznych chowa się w ukryciu. Na Białorusi KGB dalej nazywa się KGB. To Białoruś jest prawdziwym spadkobiercą ZSRR, a Rosja ewentualnie w drugiej kolejności. W 1991 r., gdy w referendum zapytano Białorusinów, czy chcą niepodległości, czy wolą pozostać w ZSRR, 83 proc. odpowiedziało, że niepodległości nie chce, po rozpadzie ZSRR dostali ją wbrew własnej woli. Po paru latach doświadczeń z demokracją i jej chaosem wybrali Łukaszenkę i pozwolili mu rządzić po sowiecku, a przynajmniej tak bardzo się nie sprzeciwiali. Społeczeństwo popełniło grzech zaniechania, opozycja grzech dezintegracji. W 1994 r. Łukaszenka doszedł do władzy drogą demokratyczną, obstał cały aparat państwa lojalnymi ludźmi, zadbał o ich pensje, a oni o jego wybór.

Łukaszenka nie odrzucił żadnego wymiaru rosyjskiego imperializmu, zwłaszcza sowieckości. Torturowany w więzieniu pod Mińskiem rosyjski dziennikarz z Jekaterynburga Nikita Teleżenko słyszał, że jego oprawcy są ostatnimi obrońcami ZSRR, który upadł przez takich mięczaków jak protestujący dziś na Białorusi. Dlatego obok tysięcy pomników Lenina stoją na cokołach carscy generałowie, Aleksander Suworow ma swoje muzeum. Imperialna tradycja spleciona jest z wybiórczo branymi wątkami z dziejów jeszcze plemiennych, z Wielkiego Księstwa Litewskiego, bardzo ostrożnie z Rzeczpospolitą Obojga Narodów (polonizacja jest bardziej niebezpieczna niż rusyfikacja) i z niechętną rezerwą z czasu odrodzenia narodowego z przełomu XIX i XX w.

Co z Leninami i całym ideologicznym bagażem ostatnich dekad zrobi opozycja, jeśli pogoni Łukaszenkę? Które przyjmie jako własne? Dotąd Białorusini nie stawali często przed takim dylematem. Z reguły byli jak piłeczka pingpongowa w meczu mocarstw rywalizujących o wpływy w przestrzeni między Niemnem i Dnieprem. Swoją los przyjmowali z fatalizmem, nawet w pierwszym wersie hymnu śpiewają „jesteśmy pokojowymi ludźmi”. Teraz, zaledwie w ciągu tygodnia, okazali się prawdziwie świadomą wspólnotą polityczną. Niezależnie od rozwoju wypadków nikt im tego poczucia i tej dumy już nigdy nie odbierze.

ŚLAWOMIR SIERAKOWSKI, WSPÓŁPRACA JĘDRZEJ WINIECKI

Zbrojne ramię władzy



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Brutalna akcja policji przeciw działaczom LGBT nie była przypadkiem. Z naszych ustaleń wynika, że rozkazy szły z samej góry.

VIOLETTA KRASNOWSKA, PIOTR PYTLAKOWSKI

Policjanci mieli zatrzymać jak najwięcej ludzi, i to spektakularnie. Wygląda na to, że funkcjonariusze wystąpili w show na zamówienie władzy.

Przypomnijmy, że zatrzymanie w piątek, 7 sierpnia aktywistki Margot (według dokumentów to Michał Sz., ale uważa się za kobietę), aby na podstawie decyzji sądu przewieźć ją do aresztu, odbyło się na raty. Najpierw policjanci udali się na ulicę Solec. Tam Margot dobrowolnie chciała oddać się w ich ręce. Jednak policjanci odmówili zatrzymania. Potem wydano komunikat, że siły policyjne były zbyt skromne i obawiano się zamieszek. Ale na Krakowskim Przedmieściu, gdzie zgromadziło się znacznie więcej osób manifestujących solidarność z Margot i emocje wzrosły, obawy policjantów przestały być ważne.

Aktywistkę zapakowano do nieoznakowanego radiowozu, otoczonego przez tłum. Dowodzący operacją musieli być świadomi, że pojazdu manifestanci dobrowolnie nie przepuszczą. Ktoś wskoczył na dach policyjnego auta, funkcjonariusze dość nieudolnie próbowali go stamtąd ściągnąć. Ale w tym samym czasie w promieniu kilku, kilkunastu metrów policjanci już nie byli nieudolni. Na nagranych wówczas filmach z telefonów widać dobrze zbudowanych mężczyzn w cywilnych ubraniach, którzy rzucają manifestantów na otaczający ich kordon mundurowych. – *Przeraziło mnie, że widziałam u tych taniaków krótką broń* – mówi posłanka Magdalena Filiks (KO). – *Trzymałam przed sobą legitymację poselską, ale jeden z nich, nie zważając na to, uderzył mnie pięścią w klatkę piersiową i natychmiast się schował.*

Zofia Marcinek, tłumaczka i aktywistka tzw. opozycji ulicznej, trzymała tęczową flagę. Jeden z agresywnych cywili wyrwał jej chorągiew, a kiedy ruszyła za nim, policjant w mundurze podciął jej nogi. – *Kiedy upadła, drugi funkcjonariusz uderzył ją łokciem w twarz* – mówi posłanka Magdalena Filiks, która obserwowała to zdarzenie z bliska. Zofia Marcinek uderzyła głową o chodnik. Przez kilkadziesiąt sekund leżała oszołomiona, a kiedy próbowała wstać, jakiś policjant załapał ją przedramieniem za szyję, ucisnął na krtań i kobieta poczuła, że zaraz straci świadomość. Ale policjant zwolnił uścisk i rzucił ją brzuchem na chodnik, drugi docisnął ją kolanem do ziemi i sprawnie założył kajdanki. Została zakuta od tyłu. W radiowozie siedziała obok niej policjantka. Powitała zatrzymaną słowami: „Jebana pedała!”.

Maciej Wąsik, zastępca Mariusza Kamińskiego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, odpowiadając na pytania senatorów podczas debaty poświęconej interwencji policji w trakcie zatrzymywania Margot, z dużą pewnością siebie odpiął zarzuty dotyczące brutalności funkcjonariuszy. Według niego wszystko odbyło się zgodnie z przepisami, a prawa osób biorących udział w zgromadzeniu nie zostały złamane. Mówił, dlaczego Margot nie zatrzymano, kiedy przebywała w siedzibie Kampanii Przeciw Homofobii przy ul. Solec. Powtórzył, że wtedy zatrzymanie byłoby zbyt ryzykowne.

Jednak według naszych informacji policjanci, którzy pojechali po aktywistkę na ul. Solec, nie dysponowali jeszcze postanowieniem sądu, a tylko na tej podstawie mogli dokonać zatrzymania. Od przełożonych dostali rozkaz, aby natychmiast zatrzymać Margot, ale niepoparty kwitem, dlatego nie przystąpili do czynności, czekali, aż ktoś dostarczy papier. Ten dotarł dopiero, kiedy akcja przeniosła się na Krakowskie Przedmieście, gdzie zebrał się tłum i policyjne działania stały się bardziej ryzykowne. Wszystko wyglądało tak, jakby władzom nie zależało na spokojnym i skutecznym zatrzymaniu Margot, ale na tym, by eskalować napięcie i ryzyko wybuchu rozruchów.

Rozkaz: „zatrzymać maksymalnie dużo osób”

Oficer policji: – *Z tego, co się orientuję, nikt, na żadnym szczeblu policji, nie podejmuje w tej chwili decyzji bez uzyskania zgody wyżej.*

Inny nasz policyjny rozmówca dodaje: – *Komendant stołeczny jest na „sztywnym łączu” z komendantem głównym. A z kim konkretnie główny, tego rzecz jasna nie wiem.*